

Mołdawia. Jak umiera raj – 2

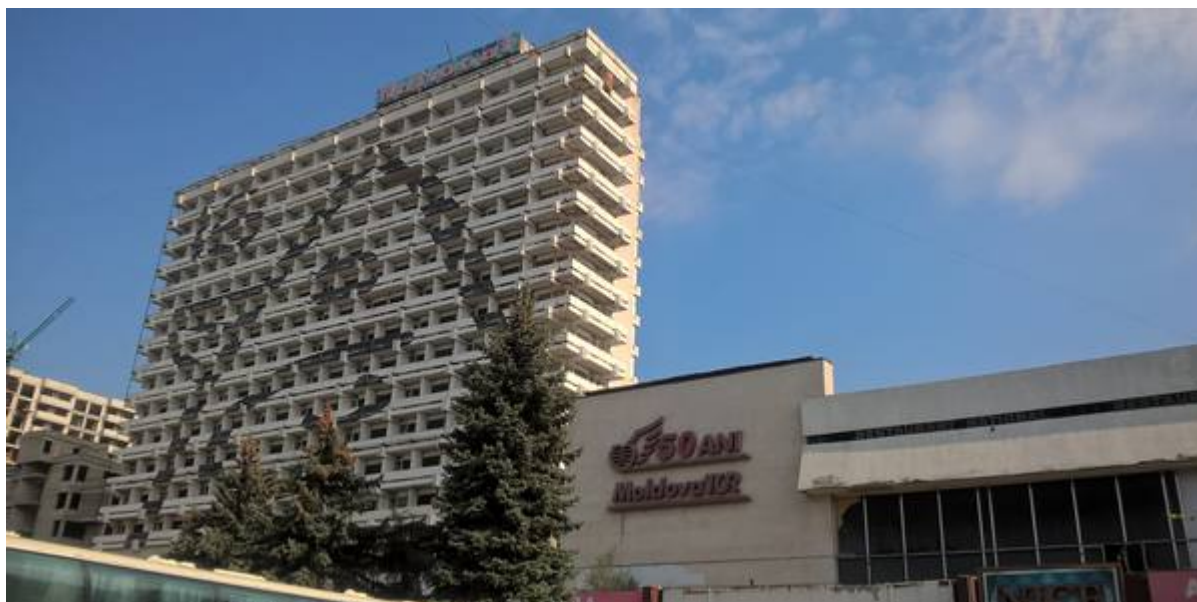
8 listopada 2016

W Kiszyniowie są momenty, kiedy zapominam, że jestem w stolicy najbiedniejszego – w najlepszym razie: prawie najbiedniejszego – państwa w Europie. Na bulwarze Stefana Wielkiego zdarza się zapatrzyć się na budynek dawnej Dumy miejskiej, wzniesiony na początku XX wieku w stylu włoskiego neogotyku. Jeśli zejść z bulwaru i przejść kawałek ulicą Puszkina na południe, znajdzie się kawałek starego Kiszyniowa. W obfitym cieniu drzew trwają dawne żeńskie gimnazjum zamienione w muzeum sztuki, cerkiewki św. Teodory i św. Pantelejmona, jedno- i dwupiętrowe domy z XIX i XX wieku.

Kiszyniów, zdobyty w 1812 r. na Turkach razem z całą Besarabią, w 1836 r. uczyniony stolicą guberni, nie mógł być dłużej na poły wsią, zbiorowiskiem drewnianych domków i upraw winorośli. Rosyjskim architektom i urbanistom zawdzięcza przebudowę, modernizację, szerokie bulwary, regularne rozplanowanie. A także to, że przy tej rozbudowie czerpano z lokalnego kolorytu, zachowano równowagę między gotowymi wzorami „urzędowej” architektury rosyjskiej, a już zadomowionym klimatem orientu. Drugi raz zainwestowano w Kiszyniów po II wojnie światowej. Zbombardowane, zrujnowane miasto – z tego, co wzniesiono w XIX w., zostało niecałe 30 proc. – odbudowywał urodzony w mołdawskiej stolicy Aleksiej Szczusiew, ten sam, który postawił na Placu Czerwonym mauzoleum Lenina.



Bloki zewsząd otaczają resztki historycznego centrum miasta. Wystarczy jednak, by ściemniło się lub spadł silniejszy deszcz – i już teraźniejszość przypomina o sobie. Chodnik przy ulicy Mihaia Kogalniceanu – jedna z ważniejszych w starym Kiszyniowie, przy niej mieści się część budynków uniwersytetu – zamienia się w wartki potok. Te latarnie, które działają, nie są w stanie rozproszyc ciemności. A jeśli nawet pogoda sprzyja i jest piękny dzień, wystarczy źle skręcić, pojechać za daleko marszrutką albo trolejbusem – albo nawet uprzeć się, że obejrzy się jak najwięcej zabytkowych budowli, które opisuje mapa kupiona w hotelu, nie tylko te przy samym bulwarze Stefana Wielkiego i najbliższych ulicach. Odchodząc od ścisłego centrum momentalnie ląduje się na blokowisku między zaniedbanymi kilkunastopiętrowymi kolosami, obok podupadłej fabryki, na ulicy zamienionej w bazar, gdzie ubogo ubrani sprzedawcy próbują, z rozłożonych koców albo wprost z chodnika, po mołdawsku i po rosyjsku, sprzedawać buty, ubrania, książki, czapki, telefony i słuchawki, co tylko potrzeba. Najczęściej jednak o realiach wolnej i demokratycznej Mołdawii przypominają porzucone budynki. Różne. Niektóre tętniły życiem przed 1991 r., ale transformacji nie przeżyły, inne budowano już po pamiętnej dacie, ale nigdy tej budowy nie ukończono.



Ruina hotelu National w centrum Kiszyniowa.

Na jeden z gmachów, przy samym bulwarze Stefana Wielkiego, wciągnięto nawet mołdawską flagę – powiewa do dziś z dachu nieużytkowanego wieżowca, otoczonego szczelnie ogrodzeniem. Można trafić i na takie, które właściwie są gotowe, a jednak nikt z nich nie korzysta, niedoszły gospodarz zbankrutował lub się wycofał. Największy z tych ponurych pomników transformacji to dawny hotel Inturist w samym sercu miasta, u zbiegu ulicy Ciuflea oraz bulwarów Stefana Wielkiego i Constantina Negruzziego. W niepodległej Mołdawii przemianowany, zgodnie z duchem czasów, na National, a potem, też zgodnie z duchem czasów, sprywatyzowany i z rozmysłem doprowadzony do ruiny. Dzisiaj nocują w nim wyłącznie bezdomni.

Albo dworzec kolejowy. Tu akurat o ruinie mówić, na pierwszy rzut oka, nie można. Budynek odbudowany po II wojnie światowej, też w orientalnym stylu, z monumentalnym portykiem i rzędem herbów mołdawskich miast, w środku czysty i starannie utrzymany. Tyle, że kiedy kolejno pytam o połączenia do innych mołdawskich miast, pani w kasie radzi, żeby szukać raczej na jednym z czterech dworców autobusowych. Do Bielc albo Komratu? Tylko marszrutką. Tyraspol? Pociąg jedzie dwa razy w tygodniu, a autobus z Piata Centrale – codziennie przynajmniej raz na pół godziny. A do Odessy, też marszrutką? Bez dwóch zdań. Najlepsze czasy tutejszej stacji minęły.



Stefan Wielki – niekwestionowany główny bohater mołdawskiej narracji historycznej.

Tak, był czas, gdy w Kiszyniów inwestowano, rozbudowywano go, otwierano osiedla i zakłady pracy. Co może tym wspomnieniom przeciwstawić epoka niepodległej Mołdawii, naznaczona nie tworzeniem, a likwidacjami? Przekaz propagandowy, rojenia o historii. Opowieść o tym, że nie było w nowożytnych dziejach Kiszyniowa i całego kraju żadnej dobrej epoki, a jeśli warto wspominać dzieje, to tylko te zamierzchłe. Bez końca więc Mołdawianin winien chlubić się bohatersko walczącym z Turkami hospodarem Stefanem Wielkim. Zobaczy go na pomnikach, banknotach, w niezliczonych nazwach ulic, w reklamie pożyczki chwilówki i telefonu komórkowego. Można szukać jeszcze dalej: w Muzeum Archeologii i Historii Mołdawii przed wejściem gości wita rzymska wilczyca, a na początku wizyty – ekspozycja o Rzymianach w Dacji.

Polityka historyczna w Mołdawii to dziedzina rozwojowa. Muzeum Archeologii i Historii jeszcze mało stanowczo, niekonsekwentnie potępia rosyjskie i radzieckie „okupacje”. Może i czytamy na odpowiedniej wystawie, że cały XIX w. to czas obcej niewoli, ale na ekspozycji widzimy wnętrze ówczesnej redakcji gazety, mieszczańskiego salonu, świadectwa szkolne, stroje, zdjęcia. Ślady normalnego życia. Prawdę powie Muzeum Wojskowe, nowsze, już bez podpisów po rumuńsku i

rosyjsku, zamiast niego światowy angielski. Tam po przejściu przez salę z hospodarami i wystawę o wojnie w Naddniestrzu („wojnę o integralność Mołdawii” zgodnie z patriotyczną frazeologią) trafimy na ekspozycję martyrologiczną. Terror radziecki w Besarabii. Na podłodze – czerwony jak krew kontur radzieckiego państwa, który zwiedzający musi zdeptać, zanim stanie twarzą w twarz z gipsowym Leninem, a potem wejdzie do piwnicy. Tam dopiero przytłoczyć ma go rozmiar cierpień trwających przez pięć dekad przynależności do ZSRR. Wymuszona kolektywizacja, prześladowania Cerkwi, wywózki, NKWD. Legitymacje partyjne i inne przedmioty z epoki zrzucone w jednym miejscu na urągowisko obok kolejnych gipsowych podobizn Marksa, Lenina, Frunzego. Z każdego pomieszczenia odtwarzane wciąż od nowa, do zawrotu głowy, Requiem Mozarta.



Mołdawscy „wyklęci”.

Druga strona to mołdawscy „żołnierze wyklęci”. Aby jednak dowiedzieć się o nich czegoś więcej, muszę po powrocie do hotelu grzebać w internecie, wystawa składa się głównie ze zdjęć i dat działalności. Dokładniejszych informacji o Leśnej Armii, grupie Filimona Bodi, Czarnej Armii i łucznikach Stefana przychodzi mi szukać w internecie. Szybko przekonuję się, że na kilku planszach widziałam zdjęcia wszystkich, dosłownie wszystkich członków mołdawskiego „podziemia antykomunistycznego” – niektóre grupy liczyły po kilkanaście

osób, inne co najwyżej kilkadziesiąt. Jak walczyły o wolną Mołdawię, czy też o powrót w granice rumuńskie? Atakując kołchozy, zabijając działaczy partyjnych, napadając na kooperatywy, rozrzucając ulotki, śniąc w 1950 r. o III wojnie światowej, w wyniku której Związek Radziecki niechybnie rozpadnie się.

Na razie nie zrobiono z mołdawskich „wyklętych” herosów bez skazy, bez których nie byłoby wolności w 1991 r. Nie wyrzucono również z ulic Kiszyniowa większości radzieckich pomników. Zniknął Lenin, ale z okna hotelu widzę konny pomnik czerwonego dowódcy z lat wojny domowej, Grigorija Kotowskiego, kilkaset metrów dalej – monument ku czci wyzwolenia w 1944 r. – To nasza historia – odpowiadają zwykle mieszkańcy Kiszyniowa, jeśli zapytać, czy chcieliby się ich pozbyć. Ani słowa o obcej racji stanu, zagrożonej tożsamości.

Bo i jak zastanawiać się nad tożsamością, kiedy brakuje pracy, stabilności, a za godnym życiem trzeba jechać w nieznane, za granicę? Jest jedna okazja, bardzo jednak daleka od muzealnych wystaw. Podróż za lepszym życiem może ułatwić rumuński paszport, możliwy do otrzymania dla każdego, kogo przodkowie żyli przed 1944 r. w rumuńskiej Besarabii. Wymaga to poszukiwań w archiwach informacji o własnej rodzinie, potem tłumaczenia na rumuński radzieckich dokumentów udowadniających pokrewieństwo kolejnych pokoleń, wreszcie – formalność – zademonstrowania w konsulacie przywiązania do rumuńskości. Teoretycznie osiągalne niemalże dla każdego Mołdawianina, ale kosztowne i długotrwałe – starania mogą trwać rok, dwa. Ale chętnych na takie właśnie „rozważania tożsamościowe” nie brakuje. Gdy muzea świecą pustkami, nie mogąc znaleźć chętnych do poznawania mołdawskiej martyrologii, pod rumuńskimi konsulatami codziennie ustawiają się kolejki.

Autorstwo tekstu i zdjęć: Agatha Rosenberg

Źródło: Strajk.eu